

Zimowe wejście na Mont Blanc

Cel – Mont Blanc (4810 m n.p.m.) – zdobyty (2:1 dla nas)

Kiedy – luty 2012

Kto – Dziku & Paweł & Aga



The Alpinists presents...

„Ludzie, którzy tracą czas czekając, aż zaistnieją najbardziej sprzyjające warunki, nigdy nic nie dziają. Najlepszy czas na działanie jest teraz!”

Mark Fisher

Wybór celu na nasz pierwszy zimowy wypad w Alpy trudny nie był. Miało być wysoko, miało być zimno, miało być ciężko i miała być zabawa. Gdzie tego szukać jeśli nie na Mont Blanc? Góra oferowała pewne poczucie bezpieczeństwa, ponieważ obaj z Pawłem zdążyliśmy ją już wcześniej poznać. Aga nie miała jeszcze okazji być na szczycie, więc tym bardziej motywacji jej nie brakowało.

Start nie był łatwy. Chociaż z Polski wyjeżdżamy w sobotę rano to do Les Houches docieramy dopiero w niedzielę przed południem. Zaczęło się od popsutej ładowarki do nawigacji. Już w trasie montowaliśmy z 3 ładowarek jedną działającą. Potem

pełkł kabel od spryskiwaczy, ale Paweł z pomocą scyzoryka usterkę naprawił. Scyzoryk wkrótce przepadł ponieważ został na dachu i spadł w trasie. Zaraz potem Paweł uświadomił sobie, że zabrał ze sobą klucze od remizy strażackiej. Ale co tam, i tak szczytem było wjechanie w XIV wieczny, kamienny krzyż pokutny. Na szczęście ksiądz był wyrozumiały i klątwy na nas nie rzucił. Obiecaliśmy, że krzyż zostanie naprawiony po powrocie i ze stłuczoną lampą i poobijaną klapą ruszyliśmy w trasę o długości ponad 1200 km. Do Chamonix!

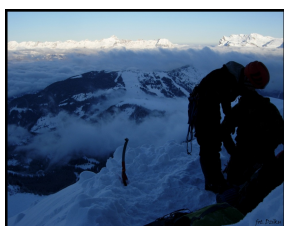
Startujemy o 12-tej wraz z narciarzami ze stacji kolejki w Les Houches koło Chamonix. Pracowniczka stacji patrzy na nasze plecaki z przerażeniem i gestykuluje „MONT BLANC – NO! NO IN WINTER! TWO PEOPLE DIED!”. Odpowiadamy jedynie pogodną miną. Wiemy o Rosjanach, którzy zginęli próbując przebyć tę trasę przed 1,5 miesiąca. Mamy też informacje od miejscowych służb, że przed nami nikt jeszcze tej zimy zaplanowanej przez nas trasy nie przeszedł. Mimo tych informacji czujemy się na siłach, by podjąć się wyzwania. 20 minut później ruszamy pieszo z górnej stacji kolejki (1790 m). Od tego momentu przez kilka godzin trawersujemy w głębokim śniegu stromy stok. Wokół nas gęsta mgła. Gdzieś pod nami pod śniegiem prowadzą tory kolejki zębatej. We mgle mijamy słupy trakcji, będące jedynym punktem orientacyjnym. Nie mamy jednak wątpliwości co do jednego – po naszej prawej stronie ziele pustka. Obsunięcie się ze śniegiem skutkuje zatrzymaniem się setki metrów niżej. Latem jechalibyśmy tędy wygodnie i oglądalibyśmy widoki przez szybę pociągu. Teraz śniegu jest tak dużo, że możemy trzymać ręką kabel trakcji. A czasem nawet i on ginie pod śniegiem. Co jakiś czas zakładamy dźwigane przez nas rakiety śnieżne. Jednak trawers jest tak stromy, że rakiety wykręcają nam kostki i zdecydowanie większą część drogi niesiemy je na plecach.



trawers



Aga poręcza



Platforma pod namiot

Dla tych co znajdują się tam w podobnych warunkach i równie słabej widoczności – słupy trakcji są ponumerowane. Im wyżej tym numer wyższy. Przy słupie nr 447 znajdują budynki pośredniej stacji kolejki (2077 m), zaś w pobliżu słupa 496 należy się spodziewać wejścia do tunelu. My tego nie wiedzieliśmy i...

Kiedy zaczął zapadać zmrok dotarliśmy do najtrudniejszego terenu. Z prawej strony 700 metrowa przepaść. Z lewej pionowe skały. Wykopujemy łopatą platformę i rozkładamy na niej namiot. Aga w tym czasie robi jeszcze zwiad i poręcza odcinek, który czeka nas jutro. Po 40 metrach dochodzi do skał i zapada się obiema nogami w głęboki śnieg. Wiemy, że gdzieś tu jest gwarantujący bezpieczne przejście tunel ale nie wiemy dokładnie gdzie. Gdybyśmy wtedy wiedzieli, że Aga kiedy się zapadła była już obiema nogami w tunelu kolejki! Ale póki co – warto napomknąć o tej nocy spędzonej na krawędzi przepaści. Ciekawym doświadczeniem było np. robienie kupki na wąskiej wydeptanej przez nas ścieżce. Wystarczyło potem lekkie jej trącenie i leciała ona gdzieś daleko w ciemność.

Rano kontynuując nasze samobójcze zapędy i będąc nieświadomi bliskości wejścia do tunelu decydujemy się go ominąć jego zewnętrzną ścianą. Teraz widzę to tak, że od 2-giej strony tunelu dzieliły nas 2 godziny strachu. Aga prowadząc zakładała przeloty, lecz skała i teren był tak nieprzyjazny, że asekuracja była bardzo niepewna. My dźwigaliśmy na plecach olbrzymie plecaki, z których dodatkowo sterczały przeklinane przez nas rakiety. Obsunięcie się któregoś z nas mogłoby być tragiczne dla wszystkich. Udaje się nam jednak dotrzeć do wylotu tunelu. W parę minut przechodzimy nim z powrotem i widzimy skąpe światło. To pewnie jest ten otwór, który wczoraj zrobiła nogami Aga. Dlaczego nie zdecydowaliśmy się pokopać w tym miejscu i odszukać wejścia?! Teraz już za późno na dywagacje, przynajmniej wiemy, że wrócimy przez bezpieczny tunel a nie tą zewnętrzną ścianą dla samobójców.



trawers tunelu



trawers tunelu



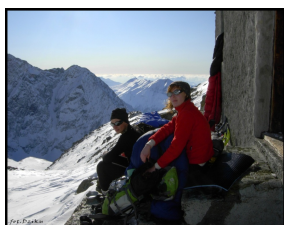
trasa poza tunelem z zaznaczonym czerwoną kropką miejscem z platformą pod namiot

Pójdźmy jednak dalej, przed nami kolejny – tym razem całkowicie zasypany tunel. Omijamy go trasą biegnącą przez żleb, skałki oraz stalowe schodki i stajemy na stacji Le Nid

D'Aigle (2372 m). Tutaj biwak z jedzonkiem na ciepło i idziemy do schronu Forestiere (2768 m). Rozpatrujemy spędzenie w nim nocy. Jednak pewien fakt nie daje nam spokoju i nieco psuje humory. Okazuje się, że nie zabraliśmy jednego kartusza z gazem. Ilość paliwa, które mamy ze sobą nie przekreśla szans na zdobycie szczytu jednak powoduje pewną presję czasu. Pakujemy rzeczy z powrotem do plecaków i idziemy dalej – do Tete Rousse (3167 m). Dochodzimy do nieczynnego o tej porze roku schroniska już w zupełnych ciemnościach. W środku jest bardzo zimno, przypuszczam, że mniej niż -10 stopni. Topienie śniegu zajmuje dużo czasu, ale wreszcie udaje nam się czegoś napić i coś zjeść i padamy wymęczeni na łóżka.



biwak przy Le Nid D'Aigle



biwak przy Forestiere



w drodze do Tete Rousse

Wstajemy jeszcze o zmroku. Znów parogodzinna operacja topienia śniegu, zalewania termosów i ruszamy dalej. Jest łatwiej – bo dzień wcześniej zostawiliśmy nadmiar jedzenia, namiot oraz rakietę w Forestiere. Jednak w tym wszechogarniającym mrozie nasze organizmy szybciej słabną. Po 4 godzinach wspinaczki w zacienionym kuluarze wychodzimy przy starym schronisku Gouter (3817 m). Okazuje się, że mam odmrożone wszystkie palce u

stóp. Przez następne pół godziny rozcieramy mi stopy. 10 białych, twardych i nieczułych na dotyk paliczków powoli wraca do życia. Jednak krążenie wróci do nich dopiero po 2 dniach. A czucie w pełni odzyskam dopiero po paru tygodniach. Na dodatek wejście do zimowego schronu jest zasypane i nie jesteśmy w stanie się do niego dostać. Na szczęście jest piękna, bezwietrzna pogoda. Mimo mrozu siedzimy na karimatach, gotujemy a nawet... zapadamy w drzemkę. Po przebudzeniu postanawiamy iść dalej. Przed nami kilka godzin światła dziennego więc powinno się udać dotrzeć do schronu Vallot. Schron ten znajduje się na wysokości 4362 m więc szczyt byłby już w zasięgu ręki.

Chyba nie spodziewaliśmy się, jak wielka różnica jest pomiędzy zdobywaniem Mont Blanc latem i zimą. Przez następne godziny szukamy drogi między odsłoniętymi szczelinami na lodowcu. Gdy zbliżamy się do szczytu Dome du Gouter (4304 m) nadlatuje helikopter, zatrzymuje się nad nami i widzimy wycelowane w nas obiektywy aparatów. Dociera do nas, że jesteśmy tu zupełnie sami. Latem ciągnie tędy sznur turystów marzących o zdobyciu najwyższego szczytu Europy ale dziś, czyli 21-go lutego 2012 roku jesteśmy tu tylko my.

Wchodząc na kopułę Dome du Gouter jesteśmy już mocno zmęczeni. Zaczyna się ściemniać, robi się bardzo zimno i na dodatek zrywa się mocny wiatr. Zakładamy puchowe kurtki, ale organizm jest już tak wychłodzony, że zmęczenie jest spotęgowane. Kiedy naszym oczom ukazuje się malutki punkcik jakim jest schron Vallot, sytuacja pogarsza się jeszcze bardziej. Aga wydaje z siebie jęk rozpacz. Najchętniej w tym momencie położylibyśmy się spać w ciepłych śpiworach. Tymczasem czeka nas jeszcze zejście niżej a potem strome podejście do Vallota. Nie ma wyboru, osłaniamy się od wiatru jak tylko się da i krok po kroku posuwamy się do przodu. Gdy dotarliśmy do stromego stoku, prowadzącego do schronu naszym oczom ukazała się kolejna trudność. Stok jest teraz pokryty twardym lodem. Jakże różni się ta trasa od tej, którą pokonuje się latem! Próbuje

ugryźć pierwsze kilkanaście metrów i okazuje się, że posuwam się szybko do góry lecz tylko na koniuszkach raków. Mam wrażenie, że zęby wbijają się na głębokość zaledwie 1-2 mm. Sygnalizuję Adze by obeszyła ten teren i poszukała bardziej przyjaznego zbocza. Sam już nie mam ochoty schodzić, tym bardziej, że czuję przypływ sił i zasuwam jak automat do góry po lodzie do samego schronu. Paweł przyjmuje tę samą taktykę, Aga zaś znajduje nieco pewniejszy szlak i wkrótce całą trójką wtaczamy się do metalowego, lodowato-zimnego schronu. Rozkładamy karimaty, rzucamy się do śpiworów i trzęsiemy się jak galarety. Jedynie Paweł jakby nie odczuł tego chłodu tak silnie.



biwak przy Gouterze



w drodze do Vallota



S.O.S. czyli Paweł uczy się z notatek w schronie Vallot

Atak szczytowy następnego dnia przebiegł nadzwyczaj sprawnie. Właściwie przy trudach z poprzednich dni był czymś niemal przyjemnym. Pozwalał sobie tak napisać, choć na szczyt nie dotarłem. Wyruszyliśmy wspólnie rankiem, jednak nie dawały mi spokoju moje odmrożone palce. Na jednym z przedwierzchołków zdecydowałem się zawrócić, by nie narażać się dłużej na mróz na tej wysokości. Wróciłem do Vallota i położyłem się spać

gdyż założyłem, że czeka mnie parogodzinne oczekiwanie na przyjaciół. Jakże zdziwiłem się, gdy niedługo po mnie pojawiła się Aga oświadczając: „Dziku, zdobyłam Mont Blanc”! Niedługo potem pojawił się Paweł, tłumacząc opóźnienie tym, że musiał wykonać parę telefonów ze szczytu. Od momentu, w którym zdecydowałem się zawrócić, moi przyjaciele w błyskawicznym czasie zdobyli szczyt. Latem ten końcowy odcinek to ciągłe „mijanki” i spowolnione przez inne grupy tempo. Zimą tego problemu nie ma ale i tak jestem pełen podziwu dla szybkości moich partnerów. Kiedy Aga i Paweł znaleźli się na ostatnich metrach przed szczytem, przyleciał kolejny helikopter i również tym razem widoczne były wycelowane w nich obiektywy. Szkoda, że nie mamy dostępu do tych zdjęć. To dopiero byłaby pamiątka.



atak szczytowy



Aga na szczycie



Paweł z flagą Olimpu na szczycie

Resztę dnia oraz noc spędziliśmy w Valloocie. Temperatura w nocy w metalowym schronie spadła do ok. -20 stopni ale czy ma to jeszcze znaczenie? Mont Blanc zdobyty i to zimą! Rano z poczuciem spełnionego obowiązku spakowani ruszyliśmy w dół. Zanim dotarliśmy do schroniska Gouter pobłędziliśmy między

szczelinami. Czekaliśmy z tego powodu kilka nieplanowanych podejść by odnaleźć właściwą drogę. W końcu jednak docieramy do schronu i okazuje się, że ktoś w tych dniach oczyścił wejście. Zgadujemy, że musiał tu wczoraj wylądować helikopter i ktoś się napracował, by schron był dostępny. Czyli francuskie służby ratownicze biorą pod uwagę, że jednak ktoś się tu zimą kręci i starają się eliminować nieprzyjemne niespodzianki, typu niedostępny schron zimowy. My jednak schodzimy niżej, przez kuluar do Tete Rousse, i dalej do schronu Forestiere. Gaz mamy już na wykończeniu. Stosujemy metodę, że na śnieg w menażce kładziemy torebkę owocowej herbaty i pijemy to gdy tylko zrobi się z tego letnia, zabarwiona i aromatyzowana woda. Jedzenia nam jednak nie brakuje. Paweł ma jeszcze mnóstwo kiełbasy i sera. Żartujemy, że jak zwykle zaopatrzyliśmy się w suchy prowiant jak na 2 tygodnie wędrówki przez Antarktydę. Tego dnia mamy jeszcze dużo czasu. Na dół nam się nie śpieszy bo wiemy, że wrócimy tunelem. W ten sposób pójdzie szybciej i bezpieczniej. Wychodzimy więc na grań nad Forestiere i podziwiamy widoki. Do głowy przychodzą różne – raczej niezbyt pożyteczne zajęcia. Skaczemy z nawisów śnieżnych, a nawet pada pomysł spędzenia nocy w jamie śnieżnej. Paweł wykopuje sporych rozmiarów jamę, wchodzi do niej, wyciąga notatki i zaczyna się uczyć do egzaminu na Przewodnika Sudeckiego. Wcześniej uczył się również w namiocie nad przepaścią, w schronie Vallot oraz w baraku Forestiere. Czy znacie lepsze miejsca do nauki?



w zejściu Paweł biegnie za zdmuchniętą puchową łapawicą



brrr – zimno



nowe schronisko Gouter

24-go lutego schodzimy do stacji kolejki, przechodzimy tunel, przekopujemy się na drugą stronę i przy wylocie poręczujemy z pomocą słupów najbardziej niebezpieczny odcinek. Wychodzimy na zasypane torowisko, mijamy platformę, na której parę dni temu spędziliśmy noc i podążamy do doliny. Po drodze mijamy miejsca, w których zeszły ostatnio lawiny. Gdzieś tam śnieg obsunął się całkowicie, odsłaniając trawę. Nam udaje się jednak bezpiecznie dotrzeć do cywilizacji. Jest piękna słoneczna pogoda kiedy docieramy do górnej stacji kolejki. W pierwszej kolejności korzystamy z toalety. Oj, jak człowiek mało docenia to, że może w domu usiąść sobie na ciepłej desce. My teraz takie rzeczy doceniamy. Po powrocie do domów cieszymy się tym, że nie musimy topić śniegu tylko włączamy czajnik elektryczny oraz tym, że nie musimy spać z ubraniami i butami w śpiworze bo nie zamarzną nam do rana.

I po to są te wyjazdy. Człowiek bardziej kocha życie.

– END –

Dziku



Paweł w jamie



pyszna herbatka!



przebijanie się przez tunel

Galeria











